

MARTA GUZOWSKA

LESZEK TALKO

# MORDERSTWO W LICZONE W GENĘ

6 CZYLI  
ZLECEŃ  
LUCJI SŁOTKIEJ



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

# Mężczyzna, który zjadł orzeszki

## ROZDZIAŁ 1

– Lucja Słotka – powiedziałam do chromowanej kratki, nad którą wisiała kulista kamera marki Siedle. Po cholere tu komuś siedle za siedem tysięcy?

Podziwiałam to cudo, czekając, aż ktoś z drugiej strony domofonu wreszcie się zdecyduje i wciśnie przycisk otwierający bramę z kutego żelaza. Swoją drogą, koszt samej bramy uzasadniał cenę nieprzyzwoicie drogiej kamery.

Brama drgnęła i zaczęła się powoli otwierać. Wcisnęłam gaz i mój ford mustang potoczył się alejką wysadzaną topolami. Przejechałam sto metrów i znalazłam się na podjeździe przed Dumą Warmii. Jakiś architekt nieźle poszalał. Rezydencja składała się z betonu i ze szkła, tak jakby autor nie mógł się zdecydować, czego ma być więcej. Wygrało chyba szkło. Zresztą nieskazitelnie czyste. Ciekawe, kto to wszystko myje.

Wjechałam na okrągły podjazd i wcisnęłam hamulec. Wsiadłam z samochodu, przeciągnęłam się i wyjęłam papierosa.

Podwójne szklane drzwi rozsunęły się, wypluwając poważnego młodego człowieka w ciemnym garniturze. Młodzieniec najpierw spojrzał na mnie z potępieniem, a potem już tylko na moje nogi, tym razem z aprobatą.

Zapaliłam papierosa.

– Tu się nie pali. I podjeżdża się od zaplecza – powiedział.

– No to szkoda, bo ja palę i zajechałam od frontu. – Patrząc mu prosto w oczy, zaciągnęłam się papierosem.

– Ale... – bąknął.

– Nie znoszę tego słowa. „Ale”. Wszystko, co następuje po „ale”, jest straszne. Chyba że brzmiałoby: „Ale pomogę z bagażami”.

Spojrzałam na niego wyczekująco.

Mruknął coś pod nosem i ruszył do bagażnika. Po drodze jeszcze raz zlustrował moje nogi.

Miałam tu spędzić najbliższy miesiąc i już mi się podobało.

Tadeusz Walenty był człowiekiem, który uwielbiał celebrację. Niewątpliwie zrobiłby wielką karierę jako mistrz ceremonii lub magik iluzjonista. Z jakiegoś niejasnego powodu wybrał jednak zawód producenta telewizyjnego. Ale swoją rolę grał mistrzowsko.

Siedziałam w przepastnym fotelu, który, jak zdażyłam się już dowiedzieć, został wykonany na specjalne zamówienie w Reims i obity tkaniną wyprodukowaną zgodnie z osiemnastowieczną niderlandzką technologią, bez żadnych kompromisów. Cena fotela sugerowała, że zrobiono go ze złotych samorodków i z piór peruwiańskich kolibrów.

– Bez żadnych kompromisów – powtórzył Walenty po raz siódmy, a przecież rozmawialiśmy dopiero dwie minuty.

Zachęcająco postukał w butelkę.

– Osiemnastoletnia highland park. Single malt bez żadnych kompromisów. No to zdrowie!

Tadeusz Walenty mógłby być całkiem przystojny, gdyby nie był aż tak przerysowany. Wszystkiego miał za dużo. Za dużo kratek na marynarce – byłam gotowa się założyć, że uszył ją słynny londyński krawiec – bez żadnych kompromisów. Zbyt obcisłe skórzane spodnie – zapewne ze skóry okapi. Ich zakładanie i zdejmowanie musiało być prawdziwą torturą i na pewno wiązało się z całą masą kompromisów. Za to bez kompromisów z pewnością obyło się przy szyciu. Okulary w zbyt kolorowej oprawie wołały, że są wykonane na zamówienie – bez ani jednego kompromisu. Cały zaś Tadeusz Walenty, lat sześćdziesiąt, zdawał się mówić, że czuje się, bez żadnego kompromisu, najwyżej na trzydzieści, a może nawet na osiemnaście.

– Zdecydowaliśmy się panią zatrudnić, bo powiedziano nam, że pracuje pani bez jakichkolwiek kompromisów – kontynuował Walenty.

Skupiłam się na whisky. Pijałam już lepsze, ale wyznawałam zasadę, że darowanej osiemnastoletniej whisky nie zagląda się w zęby. Walentemu dość dobrze szła rozmowa z samym sobą, mój udział był w zasadzie zbędny.

– Ja i moja żona Zofia Montegabbione... – perorował. – O, właśnie jest. Zosiu, poznaj naszą nową ochmistrzynię...

– Home Disaster Manager – przerwałam.

– Słucham?

– Jak wspominałam w rozmowie telefonicznej, jestem Home Disaster Manager. – Wyjęłam z kieszeni wizytówkę, na której było to napisane jak byk, i położyłam na stoliku obok karafki. – Nie ochmistrzynią, nie służącą, nie prowadzącą dom. Home Disaster Manager. A pan powiedział, że to się świetnie składa, bo nadciąga katastrofa.

– A tak, tak. – Walenty dopił duszkiem whisky. – Ale to za chwilę. Zosiu, może ty wyjaśnisz naszej nowej Home Disaster Manager... To się jakoś skraca?

– Lucja.

– Łucja, śliczne imię, na pewno się polubimy – rozanieliła się Zofia i chwyciła mnie w objęcia.

– Lucja. Przez L. Jak... Jak Lukrecja.

Bo tak naprawdę brzmiało moje imię. Tata się uparł. Ale przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Skrzywiłam się, bo gospodyni nadal trzymała mnie w uścisku, a jej długie włosy uniemożliwiały mi oddychanie. Na ile zdążyłam się przyjrzeć, żona doskonale pasowała do męża. Z daleka sprawiała wrażenie wesołej licealistki. Z bliska licealistka okazywała się trochę starsza, tak mniej więcej o trzydzieści pięć lat.

– Posłuchaj, kochana, na pewno ci się spodoba. Tadzio jak zwykle przesadza, nie czeka nas żadna katastrofa. Po prostu mój mąż obchodzi okrągłe

sześćdziesiąte urodziny, zaprosiliśmy kilkoro znajomych i chcemy, żeby się doskonale bawili, a słyszeliśmy od kilku znanych osób, że możesz służyć pomocą w takich... nietypowych sytuacjach.

– Nie będą się doskonale bawić, jeśli Bromba nie dostanie swojego wiejskiego chlebka – mruknął Walenty scenicznym szeptem.

– Prosiłam cię, żebyś tak o niej nie mówił. – Zofia uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Pani Faustyna Jelonek, na pewno ją, kochana, znasz, po prostu lubi domową wiejską atmosferę.

Skinęłam głową. Oczywiście trudno było nie słyszeć o Faustynie Jelonek, która trzęsa kilkoma stacjami telewizyjnymi od czterdziestu lat, choć złośliwi twierdzili, że od momentu wynalezienia telewizji. O jej humorach krążyły legendy.

– Otóż Faustyna, oczywiście, kochanie, musisz do niej mówić „pani prezes Jelonek”, ona po prostu przepada za wiejską aurą. I dlatego do nas zagląda. Lubi zapach świeżo pieczonych bochenków wyjmowanych z glinianego pieca.

– To są koszty – wtrącił Walenty. – Piec zrobiłem bez kompromisów. Trzydzieści tysięcy złotych.

– To logiczne, gdzie indziej miałyby wpadać, pragnąc sielskości i wsi – powiedziałam i omiotłam salon spojrzeniem. Marmurowe płyty na podłodze, kilka drogich abstrakcji, jedna ściana w całości ze szkła i olbrzymi kandelabr z kryształów zwieszający się z sufitu. Być może tak właśnie Faustyna Jelonek wyobrażała sobie wiejską chatę. Z wystrojem klócił się tylko olejny portret jakichś ułanów na koniach.

– Nasza kochana gospodyni, Marysia, niestety nie może przygotować wiejskich przysmaków – westchnęła Zofia. – Naprawdę straszne nieszczęście, wypadek samochodowy, cała jest połamana.

– Straszne – przyznałam.

– Cieszę się, że rozumie pani sytuację. – Tadeusz skinął głową. – Zostaliśmy po prostu sami na łasce losu. Marysia skrajnie nieodpowiedzialnie weszła na jezdnię. Co prawda na pasach, ale zawsze jej powtarzałem, żeby najpierw się rozejrzała. No i postawiła nas w bardzo niezręcznej sytuacji. To są koszty, pieniądze nie rosną na drzewach. A tymczasem Bromba, to jest pani prezes Jelonek, przyjeżdża jutro i oczekuje, że zostanie powitana wiejskim chlebem, swojską kiełbasą, mlekiem prosto od krowy, domowymi ziemniakami ze skwarkami i tak dalej. Oszaleć można. Czy pani wie, że jak ona przyjeżdża, to ja muszę pić okowitę? I musiałem wybudować za domem wiejską zagrodę specjalnie dla niej i ściągnąć przez pół Polski autentyczną wiejską chatę. A to przecież są koszty. I jeszcze wciąż muszę powtarzać, że ta chałupa i tak tu wcześniej stała pusta i Bromba może sobie wpadać, kiedy chce, bo po co chata ma się marnować. Proszę pani, ja ją kupiłem za sto tysięcy, a za trzy razy tyle wyremontowałem. Koło Przemysła ją znalazłem, żeby pani prezes Jelonek mogła tu okowitę popijać i zachwycać się prostym życiem bez pieniędzy. A, proszę pani, proste życie to są ogromne koszty. Jednym słowem, oczekuję, żeby pani podjęła ją tym wszystkim. Ma stąd wyjechać zachwycona. Bez kompromisów.

– Tadzio przesadza. – Zofia się uśmiechnęła. – Ale tylko trochę. To dla nas naprawdę ważne. Aha, jeszcze jedna mała prośba. Otóż pani prezes Jelonek z pewnych względów nie darzy sympatią pana Henryka Maciąga, tego krytyka filmowego, który również będzie u nas gościł.

– Nienawidzi go jak psa – mruknął Walenty i dolał sobie whisky.

– Powiedzmy, że ich spotkanie mogłoby być... wybuchowe. Dobrze więc, żeby się nie spotkali.

– Przez trzy dni? – zapytałam.

– Przez trzy dni. – Zofia skinęła głową.

– I to już wszystko?

– Tak, prawie. – Zofia zamilkła na chwilę. – I jeszcze pan Maciąg z pewnością nie byłby zachwycony, gdyby natknął się na panią Sonię Weles, tę aktorkę. Kiedyś oblała go śmierdzącą ciecżą, co spowodowało pewną niezręczność towarzyską...

– Obiecał, że jak ją znowu spotka, zrobi to samo, co ona na pewno zrozumie jako feministka i zwolenniczka równego traktowania kobiet i mężczyzn – dodał Walenty.

– I to już wszystko? – zapytałam. Byłam przyzwyczajona do niezwykłych wymagań klientów. Ogromna gaża, jaką inkasowałam za takie zlecenia, rekompensowała mi takie niedogodności.

– Oczywiście chcielibyśmy, żeby wszyscy goście spotkali się na urodzinowej kolacji Tadzia – dodała Zofia.

– Pani Jelonek, pan Maciąg, pani Weles – upewniłam się. – Mimo że się nienawidzą?

– Cieszymy się, że jakoś to załatwisz – uradowała się Zofia. – Tylko musisz pamiętać, kochana, że pani prezes Jelonek nie tknie ciecierzycy, pan Maciąg nie jada wołowiny, bo uważa, że to nieekologiczne dla planety czy coś takiego...

– Skąd pani to wie? – zaciekało mnie.

– Moja droga. – Popatrzyła na mnie z lekką wyższością. – W tej branży wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. W każdym razie pan Maciąg jest na bakier z wołowiną, chociaż jego partner, pan Lewy, bardzo chętnie jada zraziki, pani Weles jest wegetarianką, a ta Car to w ogóle je tylko zielsko. Nie mogłabym być weganką, a ty?

– I to już wszystko?

– Aha, mój Tadzio ma uczulenie na orzeszki ziemne. Bardzo silną alergię. Ale to wiedzą wszyscy, po prostu wszyscy.

Ja nie wiedziałam.

Nie zdążyłam zapytać, czy to już wszystko.

– I tu masz taki strój, chodziła w nim stara dobra Marysia... – zaczęła Zofia.

Zajrzałam do torby, którą mi wręczyła, i wyciągnęłam łowicki pasiak i kolorową chustę.

– Gdybyś mogła to założyć, prezes Jelonek...

– Rozumiem. Czy jednak pani prezes Jelonek nie zdziwi się, skąd strój łowicki na Warmii?

– Chata jest łemkowska i jakoś jej nie dziwi. – Walenty nalał sobie jeszcze whisky i wypił duszkiem.

– Krótko mówiąc: mam upiec chleb w piecu glinianym, załatwić swojską kiełbasę i mleko od krowy, sprawić, żeby ci wszyscy ludzie najpierw się nie spotkali, bo się pozabijają, a potem się spotkali i nie pozabijali, i robić to w tym... czymś. – Wskazałam na strój łowicki.

– I gdybyś wymyśliła jeszcze, jak by tu trochę pozmienić wnętrze. Bo kiedy ona, to znaczy prezes Jelonek, wyjdzie z tej chaty i przyjdzie do nas na śniadanko, mogłaby doznać nieprzyjemnego wstrząsu kulturowego. No wiesz, żeby nasz salon bardziej przypominał prostą wiejską chatę. Może jakieś kubki z wzorem ludowym, dywan, ewentualnie boazeria. To może jest pomysł. Drewniana boazeria pokryta patyną czasu. Może trochę słomy, jakieś stare maszyny rolnicze. Nic wielkiego.

– W tym pokoju. – Jeszcze raz objęłam wzrokiem surowy szlifowany beton na ścianach i marmur na podłodze.

– Będzie nam się wspaniale współpracowało. – Zofia uśmiechnęła się i przycisnęła mnie ponownie do piersi.

Poczułam, jak dwa implanty wbijają mi się w ciało. Cholera, jak oni to robią w łóżku?

## ROZDZIAŁ 2

Próbowaliście kiedyś robić coś w łowickiej sukience? Dobrze wam radzę – nie próbujcie! Uwierzcie mi na słowo: jeśli Bóg chce kogoś pokarać, zsyła mu strój łowicki. Nie da się w nim usiąść, bo jest usztywniany, i można tylko wdzięcznie się przeżyć, trzymając pod boki. No i jest zrobiony z wełny, temperatura wewnątrz wynosi jakieś dwieście stopni. Jakby co – ostrzegałam.

Stałam przed drzwiami rezydencji, oczekując przyjazdu gości. Mieli zostawić samochody koło bramy i nadjechać bryczkami. Wasiak, miejscowy człowiek do wszystkiego i właściciel dwóch bryczek, popłakał się ze szczęścia, kiedy się dowiedział, że Walenty wynajmie je obie na trzy dni. Teraz nadjeżdżał, strzelając z bata, ubrany – a jakże! – w strój łowicki. Miał nawet sumiaste wąsy. Sama mu je przyklejałam, a pomysł bardzo spodobał się mojemu pryncypałowi. „No teraz Wasiak wygląda wreszcie jak rasowy chłop” – powiedział.

Piotra Surmacza też ubrałam w strój łowicki, choć protestował, twierdząc, że ma mnóstwo pilnych zadań. Zignorowałam jego opór. Niech pocierpi za tę uwagę o niepaleniu.

To był nawet miły chłopak. Tak usilnie chciał mi pokazać, jaki jest ważny i jak bardzo Walenty ceni go jako swojego asystenta, że nie musiałam go o nic wypytywać. Sam wszystko wygadał. No dobrze, rozpięłam dwa guziki bluzki, choć jeden by wystarczył. Każdemu może się przydarzyć błąd w ocenie.

Wystarczyły te dwa guziki i szeroko otwarte oczy, by Surmacz opowiedział mi, że Tadeusz Walenty jest jego wujem (dziesiąta woda po kisielu) i zaproponował mu

u siebie posadę asystenta. Musiałam jeszcze zatrzepotać rżesami, żeby się dowiedzieć, że Walenty płaci mu pensję minimalną (byłam gotowa się założyć, że jedna płytka z salonu kosztowała więcej) i – to było najciekawsze! – że ten biedny chłopak uważa, że to on zmanipulował Walentego i dostał przepustkę do świata całej polskiej produkcji telewizyjnej i filmowej. Mówił to z całym przekonaniem, mopując podłogę, czym zajmuje się codziennie. Czyste szyby to też była jego zasługa.

– Wujó zaprosił tu tę całą filmową zgraję z prezeską Jelonek na czele, no i ciebie... – znowu zerknął mi w dekolt – ...bo musi dostać kontrakt na nowy reality show. Pali mu się pod dupą. To znaczy... wybacz niecenzuralne słowo.

Wybaczyłam. Ale zapięłam jeden guzik.

– Oni, rozumiesz, żyją ponad stan, wujó i Zofia. I ciągle się o to kłóca. On ją wczoraj opieprzył za nowe buty, siedemnaste w tym miesiącu, zresztą nie wiem, straciłem rachubę. – Otarł rękawem czoło. Chyba też było mu gorąco w łowickim stroju. – A ona go zapytała, czy ta wielka motorówka, która właśnie przyjechała w kontenerze, to kolejna z motorówek sąsiadów, czy została kupiona. Bo jeśli to drugie, to może też trochę wydatek ponad stan.

Przejechał jeszcze raz mopem w lewo i w prawo, chociaż podłoga lśniła jak diamenty w uszach pani domu.

– Tak czy inaczej chcą zmusić prezeskę Jelonek, żeby im dała ten reality show – podsumował. – Bo inaczej nawet sprzedaż motorówki nie pomoże. Zresztą odpakowane motorówki strasznie tracą na wartości.

Myślałam, że mózg mi wyparuje z gorąca, więc znowu odpięłam ten drugi guzik. Zachęcony Surmacz opowiedział mi jeszcze, że reszta towarzystwa, które przyjeżdża, na zamiar wykorzystać urodziny wujó i też zaczepić się przy produkcji reality show. Łącznie z tym krytykiem, Maciągiem.

– Serio? – zdziwiłam się. – Ale przecież podobno on i prezes Jelonek się nienawidzą. Jak zamierza się wkreślić do show, skoro to prezes Jelonek ustawia figury na szachownicy, a te niepotrzebne strąca?

– To zależy od fluktuacji aktualnej sytuacji geotowarzyskiej – wymądrzył się Surmacz. Czyli nie wiedział.

Podłoga błyszczała już tak, że jeszcze chwila, a mogłabym pozwać właściciela za uszkodzenie wzroku w miejscu pracy. Surmacz odniósł mop do schowka i nie wiedział, co zrobić z rękami. I oczami. Miałam ochotę sprawdzić, co się stanie, kiedy odepnę trzeci guzik, ale się nie dało, łowicki gorset był za ciasny.

– I mogę się z tobą założyć, że pierwsza pojawi się prezeska.

Niesportowo jest się zakładać, kiedy wiadomo, że przeciwnik przegra. Ktoś taki jak prezes Jelonek lubi mieć wejście, a do tego potrzebni są wszyscy obecni. Poza tym gdyby przyjechała pierwsza, dałaby do zrozumienia, że ma mnóstwo wolnego czasu. Ja obstawiałam krytyka Maciąga z narzeczonym.

Oczywiście miałam rację.

Właśnie nadjeżdżali, w pierwszej bryczce. Nawet do siebie pasowali. Henryk Maciąg – chudy, żyłasty, ogolony na łyso, w grubych rogowych okularach, a jego

partner, znany scenarzysta Igor Lewy – jowialny, obszerny, z rozwichrzoną czarną czupryną, mającą ukrywać dwudziestoletnią różnicę wieku.

– A wiesz, że Lewy napisał w zeszłym roku cztery scenariusze? – wyszeptał mi Surmacz do ucha. – Ale żadnego nikt nawet nie przeczytał. A taki niby z niego znany scenarzysta.

Zerknęłam na kartkę w dłoni. Walenty wręczył mi ją, jakby była zaginionym rękopisem Leonarda da Vinci. Miałam dygnąć i powiedzieć: „Witajcie w Dumie Warmii, strudzeni wędrowcy. Czeka was tu zabawa, jakiej nie znacie, ukojenie, lecz nie liczcie na sen, przezacni i zabawni towarzysze biesiad”.

Postanowiłam, że za wygłoszenie tego tekstu dopiszę Walentemu dodatkową pozycję do rachunku.

– Łowiczanka? Tutaj? – zdumiał się Lewy, gramoląc się z bryczki.

– Teleportacja – wyjaśniłam krótko. – W Łowiczu to powszechne. Połowa teleportowała się do zespołu „Mazowsze”, pozostali pracują w Holandii na plantacjach tulipanów.

– A pani? – zapytał Maciąg.

– A ja zaprowadzę panów do apartamentu. Jestem ostatnią Łowiczanką.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i z ulgą weszłam do klimatyzowanego wnętrza. Czułam, że na brzuchu mogłabym usmażyć omlet. W domu było mnóstwo pokoi, ale pamiętałam, że mam nie dopuścić do spotkania Maciąga z prezesem Jelonem, więc zaprowadziłam gości do północnego skrzydła. Piękny pokój z jednym felerem: widokiem na stajnię, a nie na jezioro.

– To świeże powietrze – rozczulił się Lewy i ruszył do okna, ale zastąpiłam mu drogę. Akurat z tej strony zawiewało świeżym obornikiem, jak to ze stajni, i wolałam, żeby odkryli to później.

– Pokażę bezdotykowy prysznic – zaproponowałam.

Zdażyłam wrócić przed dom akurat, kiedy podjeżdżała druga bryczka.

Wysiadły z niej włosy, a za nimi Sonia Weles. Na pewno ją znacie. Bez niej połowa serwisów plotkarskich musiałaby się zamknąć, a paparazzi pomarliby z głodu na ulicach. Sprawdziłam ją. Sonia ma nowego chłopaka – gwiazdę YouTube’a, jak również nową odżywkę do swoich sięgających kolan blond włosów. Ponadto przeszła się wczoraj nad Wisłę i była zdegustowana tym, że woda jest brudna. Gra w filmach, ale nie mogłam sobie przypomnieć żadnego tytułu. Za to doskonale pamiętałam reklamę sieci komórkowej, w której Sonia krzyczy, ucieszona, do przyjaciółki: „Słyszę cię doskonale!”. Każdy by się cieszył.

– Cudem udało mi się tu trafić – jęknęła Sonia. – A moje włosy są w katastrofalnym stanie.

– Wręcz przeciwnie – oceniłam, choć, prawdę mówiąc, włosy tej długości w ogóle nie powinny się przemieszczać. Chyba że teleportować.

– Potrzyj to, moja droga. – Podała mi najnowszy iPhone’a w złocie. – A kiedy odrzucę włosy, zacznij nagrywać. Potrafisz to robić, prawda?



– Radzę sobie. – Skinęłam głową. Miałam nadzieję, że to nie potrwa długo. Temperatura wewnątrz mojego stroju mogłaby już topić nawet odporne rudy żelaza.

Sonia wyciągnęła lusterko i wykonała kilka ruchów przy twarzy i włosach. Na moje oko nie zmieniło to niczego, ale ją efekt najwyraźniej uradował. Spojrzała na mnie wymownie, więc wcisnęłam nagrywanie.

Zarzuciła włosami i uśmiechnęła się do mnie, to jest do swoich sześciuset trzydziestu czterech tysięcy fanów, którzy na pewno czekali z utęsknieniem na ten moment.

– Witajcie, kochani. Zobaczcie, jak tu pięknie. To nasze polskie Mazury! Właśnie dojechałam. Dacie wiarę, że na tę wyprawę spakowałam się do mojego ukochanego plecaczka Mytrip?

Machnęła plecakiem, który rzeczywiście był niewiele większy od tornistra.

– A teraz marsz nad jezioro!

Przesłała całusa, a ja wcisnęłam „stop”.

– Zapraszam do pokoju, ja wezmę plecaczek.

– Są jeszcze walizy – powiedziała Sonia. – Schowane z tyłu. W plecaczku mam tylko puderniczkę.

Wasiak już dźwigał trzy wielkie walizy, a Sonia, nie czekając na mnie, weszła do domu.

– Zawsze zajmuję ten apartament z balkonem – szczebiotała. – Chciałabym coś na orzeźwienie. Może być szampan. Przyniosłabyś mi jakąś sałatkę? Umieram z głodu. I gdzie jest Tadeusz? Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

– Będzie po południu – powiedziałam.

Walenty siedział, co prawda, w gabinecie, ale stanowczo zażądał, by nie przywodzić do niego Soni.

– Zamęczycie mnie – wyjaśnił. – Ma inne zdanie w sprawie serialu.

Nie pytałam o szczegóły. Wiedziałam, że Surmacz mi wszystko wyjaśni.

– No wiesz – powiedział, kiedy go o to zagadnęłam. – Wujko wyłowił Sonię na castingu i dał jej rolę w tym tasiemcu, *Rodzina Waszyńskich*. A potem w komedii *Pora na romans*. I Sonia nagle została gwiazdą. Ale umówmy się, przecież każdy mógłby to zagrać. Ty też.

Nie byłam pewna, czy był to komplement, ale Surmacz najwyraźniej uznał, że tak, więc uśmiechnęłam się zachęcająco.

– Zdaje się, że grała ciałem – napomknęłam.

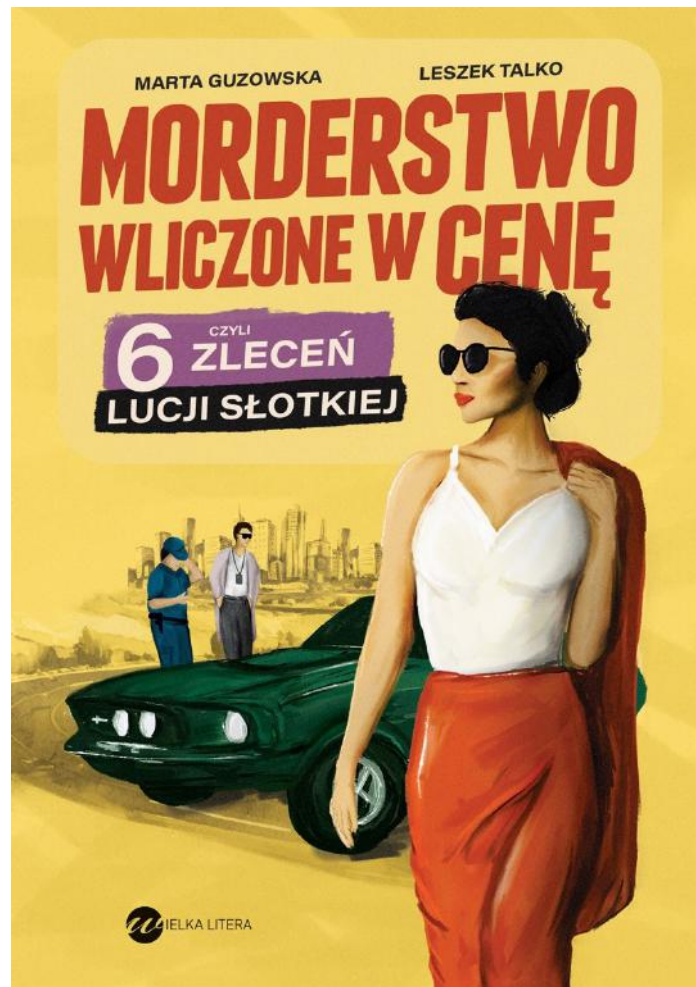
– Nie wychodziła z kostiumu kąpielowego – prychnął. – Nie licząc tych trzech momentów, kiedy go zgubiła. I od tamtej pory uważa, że jest jakąś Angeliną. Ale się zdziwi.

Zastrzygłam uszami.

– Zdziwi się? – Jednak udało mi się odpiąć ten trzeci guzik. – Pewnie nie wiesz dlaczego.

– Oczywiście, że wiem! Sonia spodziewa się, że ma angaż do reality show w kieszeni, a tymczasem Tadeusz ani myśli go jej dać. On ma na oku kogoś innego.

Przeczytaj więcej o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)

